

Czesław Ludwiczek: - Pamięć jest cudem godnym podziwu

maciej · 19 września, 2026



W swojej długoletniej karierze dziennikarskiej rozmawiał m.in. z Jadwigą Jędrzejowską czy Władysławem Skoneckim. Zrobił wywiad z legendarnym współzałożycielem „L’Equipe” i „France Football” - Jacquesem Ferranem. Na kortach w kraju i zagranicą oglądał tysiące turniejów oraz wielkich graczy, jak m.in. Ken Rosewall, Ion Tiriac czy Andre Agassi. Swego czasu, będąc w zarządzie PZT, wyjechał do Korei Północnej. Jak się potem okazało, przez nieprawdopodobny przypadek. Za najwybitniejszego polskiego tenisistę uważa Wojciecha Fibaka i pamięta niemal każdą piłkę z jego niesamowitego pojedynku w Pucharze Davisa w 1974 roku. O tenisie, który poznał w 1948 roku, może rozmawiać nieustannie, a sam grał jeszcze w wieku 85 lat. Zapraszam na ekscytującą przygodę z red. Czesławem Ludwiczkiem, który 19 września skończył 93 lata.

Panie Czesławie, kiedy i w jaki sposób rozpoczęła się pańska nieprawdopodobna przygoda z tenisem?

– Rozpoczęła się mniej więcej w piętnastym roku życia. Informację o tej grze pozyskałem z dziennika „Sport”, ale nie wiedziałem na czym ona polega. W miejscowości, w której mieszkałem, a była to Niwka (wówczas powiat Będzin, dziś Sosnowiec) nikt o takim sporcie nie miał zielonego pojęcia. Na szczęście we wspomnianej gazecie dostrzegłem informację, że na kortach Pogoni w Katowicach odbywają się Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Tenisie. Było to latem 1948 roku. Postanowiłem więc wybrać się do stolicy województwa i spróbować wejść na korty, co mi się w pełni udało. Oglądałem tego pierwszego dnia kilka meczy, przyswajając sobie z pomocą sąsiadów z trybun sposób liczenia punktów, gemów i seta. Nazwisk zawodników oczywiście nie znałem,

ale niektórzy z nich utrwalali się w pamięci. Wśród mężczyzn wyróżniał się gracz o przezwisku „Dziekan”, którym w końcu okazał się Władysław Skonecki. Wśród pań wyraźnie dała się zauważyć znana wśród publiczności Jadwiga Jędrzejowska. Pokazało się kilku zawodników czechosłowackich. Od tego dnia oglądałem turniej do końca. Stwierdziłem wówczas, że we wszystkich konkurencjach zwyciężyli wymienieni już Polacy: Skonecki i Jędrzejowska.

W męskim meczu finałowym, pomiędzy Władysławem Skoneckim i Czechem Vladimirem Zabrodskym zdarzyła się interesująca, ale i zabawna przygoda. W pewnym momencie podczas przerwy w grach Polak poprosił o przyniesienie herbaty. Chłopak podający piłki przyniósł szklankę z tym napojem, ale akurat wtedy, kiedy kończyła się przerwa w grze. Nie bardzo wiedział co zrobić z tą szklanką. Postawienie jej na stoliku, na którym widniały flagi Polski i Czechosłowacji, nie wypadało mu. Podeszedł więc do słupka, podtrzymującego siatkę, i postawił szklankę na jego płaskiej powierzchni. Skonecki, przygotowujący się do serwisu, machał rakieta w kierunku chłopca, ale ten nie zrozumiał o co chodzi, więc odszedł głębiej w tłum. Zdenerwowany Skonecki spróbował serwisem strącić szklankę, podrzucił piłkę, zamachnął się i uderzył z całej siły. I, o dziwo, trafił, co wywołało burzę oklasków i śmiechu.

A nim zetknął się Pan z tenisem po raz pierwszy, to uprawiał jakieś inne dyscypliny sportu? A może także występował w roli młodego kibica?

– Otóż, jak wcześniej wspomniałem, mieszkalem w Niwce, gdzie znajdował się piękny, wybudowany w połowie lat trzydziestych stadion o nazwie AKS. Był on dla nas wielką atrakcją. Głównie uprawialiśmy tam jednak z brzegów stadionu nurkowanie do głębi Białej Przemszy. Podczas wojny światowej stadion został zamknięty, więc podpatrywaliśmy starszych chłopaków, grających w piłkę na łąkach.

Wszakże w 1943 roku uczestniczyłem już jako kibic w ważnym, choć potajemnym meczu, w którym drużyna Niweczanka, bo tak podczas okupacji nazywano drużynę stworzoną przez piłkarzy AKS, podejmowała Unię Sosnowiec. Mecz wyznaczono na łąkach, daleko od Niwki, spory kawałek za Bobrkiem, w pobliżu nieczynnej już kopalni „Klimontów”.

Mecz rozgrywany podczas pięknej, słonecznej pogody był atrakcyjny, zacięty i sygnalizujący gole, które publiczność mocno fetowała. Ostatecznie Niweczanka wygrała 2:1. Strzelców goli wówczas nie znałem. Dopiero po wojnie, kiedy chodziłem na mecze AKS-u, dowiedziałem się, że bramki dla Niwki zdobyli Łuczyński (niestety, imienia nie pamiętam) oraz Marian Ryba, który równie zdolny był na boisku jak i poza nim. Trzeba bowiem wiedzieć, że po wojnie dosłużył się stopnia generała Wojska Polskiego i przez kilka lat funkcji prezesa i wiceprezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej. Do rewanżu obu drużyn doszło wiosną 1944 roku na stadionie miejskim w Sosnowcu. Ponownie wygrała Niweczanka, tym razem 3:0, a bramki strzelili Fajkisz, Szlauer i Ples.

Po wojnie w latach 1945 – 48 większość czasu spędziłem na stadionie AKS-u, uprawiając różne sporty. W sekcji piłki nożnej panował niesamowity tłok, więc trudno się było dostać do ważnej drużyny. Toteż szukałem innych dyscyplin. W końcu z moim kuzynem, Eugeniuszem Ludwiczkiem, i jego starszym bratem Ryszardem, włączyliśmy się skutecznie do siatkówki oraz koszykówki. I tam wytrwałem do 1948 roku, kiedy zawojował mnie tenis.

A czy w Pana rodzinie były jakieś wcześniejsze tradycje sportowe?

- W mojej rodzinie i w całym środowisku nie było żadnych korzeni sportowych. Było to środowisko wybitnie robotnicze związane głównie z kopalniami węgla „Niwka” i „Modrzejów” oraz w Fabrykę Maszyn Górniczych. Od tego środowiska oddzielał się mój ojciec Leon – urodzony w 1909 roku – ponieważ cały przedwojenny okres był bezrobotny. Po ukończeniu służby wojskowej w lwowskim Zamarstynowie wrócił do Niwki, ale pracy w wymienionych zakładach już nie dostał. To było środowisko robotnicze i to trzeba dodać, że na niskim poziomie oświatowym. Większość jej członków nie ukończyła szkoły powszechnej, bo wcześniej udawała się do pracy. O uprawianiu sportu nikt z nich nie myślał. Zresztą w okresie przedwojennym, aż do połowy lat trzydziestych, w Niwce stadionu ani innego obiektu sportowego nie było.



Form Follows *Fun*
Introducing the all new MUSE

No właśnie - tenis. Zawojował Pana? Skąd wzięło się aż takie zamiłowanie do tej dyscypliny? Czym Pana urzekł tenis i urzeka do dziś?

- Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Gdyby sięgnąć do głębi moich instynktów psychologicznych, to można by wysnuć wniosek, że owo zamiłowanie do tenisa wzięło się ze zwykłej ciekawości. Najpierw zetknąłem się z nim na łamach „Sportu”, o czym już wspomniałem. Wtedy jednak próbowałem się dowiedzieć, na czym ten sport polega. Na szczęście latem 1948 roku wybrałem się na wspomniany turniej do Katowic i przez tydzień oglądałem interesujące mecze w wykonaniu polskich i czechosłowackich zawodników, bo tylko reprezentanci tych krajów tam wówczas uczestniczyli. Duże wrażenie wywarła na mnie gra czwórki czołowych zawodników – Władysława Skoneckiego i Jadwigi Jędrzejowskiej z naszego kraju oraz Vladimira Zabrodsky’ego i Olgi Miskovej zza południowej granicy. I nie chodziło w tym przypadku o wysoką jakość techniki tenisowej, innymi słowy o precyzyjne uderzenia z głębi kortu, równie piękne woleje przy siatce oraz returny, smecze, serwisy, bo po prostu na tym owego pierwszego tygodnia jeszcze się nie znałem. Fascynowała mnie natomiast zaciętość z jaką wspomniani tenisiści przystępowali do ataku oraz obrony i to do tego stopnia, że towarzyszyłem im wzrokiem i sercem podczas każdej podejmowanych przez nich akcji.

Kiedy w miarę upływu czasu coraz częściej uczestniczyłem w licznych turniejach krajowych, od małych, lokalnych poczynając, a na narodowych i międzynarodowych MP kończąc, coraz lepiej docierały do mnie subtelności techniki tenisowej. Przy tym wszystkim coraz wyraźniej pojawiały się w moich odczuciach elementy atmosfery towarzyszącej owym zawodom. Prawdę mówiąc, roztaczało to nad tenisem urokliwy czar, który tak mocno przylgnął do mnie, że sport ten stał się jedynym, godnym uwielbienia. Kolejnym etapem zaczarowania tenisem stały się turnieje międzynarodowe, w tym rozgrywane poza granicami kraju. Dla dziennikarza z wczesnych lat Polski Ludowej było to coś nadzwyczajnego, bo trudno mu było uzyskać paszport na wyjazdy. Taką możliwość stwarzała od czasu do czasu działalność w strukturach polskiego tenisa. Osobiście dość mocno się w tę pracę zaangażowałem.

Proszę zatem przypomnieć swoją karierę działacza w polskim tenisie oraz jego międzynarodowych strukturach.

- Jak już wcześniej wspomniałem, w latach siedemdziesiątych sprawowałem funkcję członka zarządu Okręgowego Związku Tenisowego. Wszakże 3 stycznia 1980 roku odbyło się walne zebranie wyborcze, wybierającego m.in. prezesa. Kandydatem na to stanowisko był dotychczasowy szef Okręgu, Wiesław Lang. Ponieważ jednak musiało być dwóch kandydatów, Lang zwrócił się do mnie z prośbą o kandydowanie. Zgodziłem się, nie mając większych szans. Tymczasem wynik wyborów był zaskakujący, bo to ja otrzymałem 90% głosów i oczywiście zostałem prezesem. Było to wydarzenie wyjątkowe, bo zadecydowało o całej mojej przyszłości tenisowej. W kwietniu tego samego roku zostałem członkiem zarządu Polskiego Związku Tenisowego, w którym po pewnym czasie otrzymałem możliwość wyjazdu zagranicznego, nawet do krajów zachodnich, co w tamtych czasach było rewelacją.

Po raz pierwszy zostałem szefem trzyosobowej grupy dziewcząt - Moniki Waniek, Ewy Żerdeckiej i Beaty Gumuły, na wyjazd do Le Touquet Paris Plage, na turniej drużynowy Pucharu Soisbault. Tamże prezes tego Komitetu, Silvestre Gantois, podjął szefów zagranicznych ekip wystawną kolacją. Osobiście zrewanżowałem mu się, ofiarowując mu butelkę „Poloneza”. Musiała mu bardzo przypaść do gustu, bo okazał się nadzwyczaj hojny. W styczniu następnego roku na Zgromadzeniu Generalnym ds. Młodzieży Europejskiej Federacji Tenisowej w Paryżu zaproponował mi podczas wyborów wejście do jego Komitetu, czyli Soisbault. Okazało się, że nie było żadnych problemów, więc jeszcze tego samego dnia zostałem członkiem tego Komitetu, a w parę godzin później wybrano mnie również do zarządu Komitetu Galea. W ten sposób otworzyły się dla mnie duże możliwości wyjazdowe, ponieważ co roku udawałem się do Le Touquet i Vichy na turnieje i posiedzenia owych komitetów, a zimą na Zgromadzenie Generalne ds. Młodzieży w Paryżu.

Warto tutaj dodać, że zarząd PZT delegował mnie również na liczne zawody tenisowe w krajach demokracji ludowej, a jeśli nie uzyskałem jakiegoś polecenia z PZT, to wyjeżdżałem w roli dziennikarza, bo przecież przez cały czas pracowałem aktywnie w prasie.



Redaktor Ludwiczek u dołu z lewej wśród współpracowników redakcji.

Wspomina pan o wyjazdach zagranicznych jako działacz tenisowy. Tę historię, brzmiącą jak nieprawdopodobna anegdota, kiedyś już mi Pan opowiedział, ale czytelnicy „TENIS MAGAZYNU” jej

nie znają. Mam na myśli słynny wyjazd do Korei Północnej. Proszę wspomnieć ten niebywały wyjazd w historii PZT.

– Jedna z ciekawszych podróży tenisowych zdarzyła mi się w czasie pierwszej mojej kadencji w PZT. W 1983 roku wyjechałem jako szef trzynastoosobowej grupy zawodniczej prawie na drugi koniec świata, do Korei Północnej. Po ośmiogodzinnym locie z Moskwy Ił-em 62 wylądowaliśmy na lotnisku w stolicy kraju w Phenianie (obecnie Pyongyang) na cztery dni przed ważnym, wprost podniosłym dniem, bowiem był to dzień 71. urodzin ówczesnego przywódcy kraju Kim Ir Sena (dyktator rządził w latach 1946 – 1994 – przyp. red.). Abstrahując od naszych tenisowych zajęć, gospodarze zafundowali nam zwiedzanie niektórych ważnych obiektów, wybudowanych i oddanych do użytku przed rokiem, czyli na siedemdziesięciolecie urodzin wodza. Najważniejszy z nich był obelisk wzniesiony na lewym brzegu rzeki Tedong, wysoki na 150 metrów i składający się z 70 pięter, a każde z nich wypełniało 70 bloków białego marmuru, podkreślając w ten sposób wiek wodza. Zobaczyliśmy jeszcze kilka innych ciekawych budowli, ale największe zaskoczenie dla nas nastąpiło w dniu urodzin Kim Ir Sena, czyli 15 kwietnia. W tym dniu wszyscy mieszkańcy stolicy, a wraz z nimi i członkowie naszej tenisowej delegacji, udawali się na olbrzymi plac o nazwie Kim Ir Sen i tam składali hołd wysokiemu na 30 metrów pomnikowi przywódcy kraju i składali kwiaty, których warstwy sięgały blisko dwóch metrów. Po południu czekała nas kolejna ważna uroczystość, czyli wiec na nowym, zbudowanym zresztą także rok wcześniej stadionie pod wzgórzem Moran, mieszczącym 60 tysięcy widzów. Wiec poświęcony był, oczywiście, Kim Ir Senowi.



Do owego stadionu zmierzaliśmy pieszo i nagle jeszcze przed wejściem do głównej bramy, zobaczyłem coś, co wprowadziło mnie w bezgraniczne zdumienie. Oto bowiem ukazał się przed nami paryski Łuk Triumfalny, prawie taki sam, jaki niedawno oglądałem w stolicy Francji. Zaskoczony tym widokiem wykrzyknąłem odruchowo: – Przecież to Łuk Triumfalny z Paryża! – Tak – odpowiedział mój przewodnik, ale znacznie wyższy i szerszy, a ponadto z innymi zdobieniami i płaskorzeźbami. Pomnik był rzeczywiście piękny, odznaczający się estetyczną architekturą. Opiekun oświadczył, że jest on o 3 metry szerszy i 9 metrów wyższy niż francuski, a pod względem wielkości znajduje się na drugim miejscu w świecie, ponieważ jeszcze większy Łuk Triumfalny jest w Meksyku. Nasz Łuk Triumfalny – kontynuował przewodnik – został wzniesiony w 1982 roku także na cześć prezydenta Kim Ir Sena, który rozpoczął walkę przeciwko japońskim okupantom. Wewnątrz łuku znajdują się

windy, którymi można dostać się na szczyt obiektu i stamtąd podziwiać panoramę stolicy. Niestety, nie mogliśmy z nich skorzystać, ani nawet wejść na hol łuku, ponieważ zaraz na stadionie imienia – oczywiście – Kim Ir Sena, rozpoczynał się wiec, w którym uczestniczyliśmy jak mumie, bo licznych przemówień nikt nam nie tłumaczył. Niezależnie od uroczystości na cześć wodza, nasza ekipa miała okazję zapoznać się z życiem mieszkańców Korei. Stwierdziliśmy, że panuje tam absolutna czystość, że nawet jezdnie dużych dróg pucowane są przez młodzież szkolną i że ta czynność, jak wiele innych, była przymusowa.

Na koniec warto dodać, że do Korei Północnej pojechaliśmy przez przypadek, bo zaproszenie zamiast do Polskiego Związku Tenisa Stołowego przyszło do PZT, a nasz zarząd potraktował to poważnie i stąd zrodził się ten niesamowity wyjazd.



*W niedzielę może przyjąć jesienna aura, ale w **Bukowej Ostoji Nakielno** (koło Wałcza) jesień smakuje ciekawie dzięki przyrodzie i świeżemu powietrzu: <https://bukowa-ostoja-nakielno.pl/>*

Koreańczycy nie byli przygotowani do gry w tenisa, bo to był tam sport uchodzący za imperialistyczny. No i oczekiwali na tenisistów stołowych z Polski.

– O tak. Mieliliśmy mnóstwo kłopotów. Okazało się na przykład, że w ogóle nie ma gdzie grać. Gdy wyznaczonego dnia przybyliśmy na korty, zobaczyliśmy, że są one zaniedbane, wyglądają tak, jakby od ubiegłego roku nie były używane, przy czym nawierzchnia była wręcz zrujnowana. Gospodarze podjęli więc ważną decyzję, stwierdzając, że za dwa lub trzy dni obiekt zostanie doprowadzony do stanu używalności. Wtedy całą polską ekipę wywieziono do odległego od Phenianu miasta Nampo, choć, niestety, centrum nie zobaczyliśmy. Umieszczono nas w hotelu na dalekim przedmieściu i spędziliśmy tam wspomniane dwa dni. Po powrocie do stolicy stwierdziliśmy, że korty do gry są gotowe, choć nawierzchnia nie była całkowicie ubita, ale dało się grać. Wtedy przybyli na korty tenisisci, którymi okazali się koreańscy żołnierze i nie wiadomo czy w jednostce wojskowej trenowali, bo formą nie zachwycali. Rozegraliśmy dwa mecze, oba wygrywając. Z owymi żołnierzami tenisistami nie było żadnego kontaktu, poza uciśnięciem rąk po zakończeniu meczu. I o dziwo, w czasie dwutygodniowego pobytu w Korei Północnej rozegraliśmy tylko dwa mecze.

Pańska pamięć, mimo upływu lat, imponuje. Ale jakże ona jest istotna w zawodzie dziennikarza, który jest także pańską pasją i zawodem (szczegóły kariery dziennikarskiej Czesława Ludwiczka w ramce na końcu tekstu – dop. red.).

– Zauważyłeś, że moja pamięć imponuje i że potrafi odtwarzać zdarzenia, fakty i myśli po długich latach od ich zaistnienia. Szczerze mówiąc, moja dawniejsza działalność reporterska utrwalała się niemal automatycznie w mózgu i nawet po kilkudziesięciu latach potrafiła opisać najważniejsze fakty, takie jak na przykład ważne mecze, interesujące turnieje, głośne zwycięstwa, przykre porażki i mnóstwo innych ciekawych elementów. Bywa jednak, że mimo ogólnego uzewnętrznienia danego zjawiska, trudno sobie przypomnieć jakiś drobny szczegółik, uzupełniający całość i kompletujący jego sens. Oto na przykład, mówiąc o wizycie polskiej ekipy w Korei Północnej, nie potrafiłem początkowo wymienić nazwy miasta, do którego udała się nasza drużyna na okres remontu kortu w stolicy. I nagle, głęboką nocą, w przerwie snu, przyszła mi na myśl owa nazwa. Miasto, którego nazwy przez kilkadziesiąt lat nie używałem, nosiło miano Nampo, co zresztą sprawdziłem w internecie, bo leżało w odległości 50 km (to akurat wiedziałem) od Phenianu. Nie jest to jedyny przypadek pozyskiwania epizodu tkwiącego gdzieś tam niemiłosiernie głęboko w umyśle. Ni stąd, ni z owąd pojawiają się w mojej inteligencji fenomeny, których na zawołanie lub na pilną potrzebę nie byłbym w stanie wydobyć. Wynika więc z tego, że pamięć, w tym także moja, jest jakimś cudem godnym podziwu i jest fenomenem nadzwyczajnym, a dziennikarzowi służy do tworzenia przeznaczonych do publicznego odtwarzania faktów.

Rozmawialiśmy o pańskim zamiłowaniu do tenisa, ale nie wspomniał Pan nic o tym, że sam uprawiał tę dyscyplinę. Proszę powiedzieć, kiedy po raz pierwszy wziął Pan rakietę do ręki, czy był samoukiem, a może uczył się gry pod czyimś okiem? Z kim miał Pan przyjemność grywać?

– W 1948 roku, podczas turnieju w Katowicach, tenis tak mnie zauroczył, że sam chciałem go uprawiać. Nie była to jednak sprawa łatwa. Podjęcie nauki gry w Baidonie lub samo tylko wynajęcie kortu wymagałoby opłat finansowych. Drugą przeszkodą w tym zamierzonym dziele była spora odległość mojej miejscowości Niwki z Katowicami, co uniemożliwiało częste pokonywanie tej drogi. Spróbowałem więc poszukać możliwości zapoznania się ze sztuką tenisową w Sosnowcu, gdzie istniały korty. Przychodziłem tam, oglądałem ludzi grających i stwierdziłem, że istniała tam szansa podjęcia gry na zasadzie samouka. Trzeba jednak było mieć odpowiedni sprzęt, więc w sklepie z tandetnymi rzeczami używanymi kupiłem starą rakietę. Następnie udawało mi się załapać na kort, a przy szczęśliwej okazji pozyskać na krótko partnera. Były to wszakże próby niezdarne, nie przynoszące jakichś istotnych postępów.



Czterech dziennikarzy (od lewej) Zdzisław Abroziak, Adam Chojnowski, Roman Paszkowski i Czesław Ludwiczek.

Sytuacja zmieniła się jednak w roku 1950, bo do Zagłębia Sosnowiec pozyskany został z Baildonu Katowice Henryk Skonecki (kuzyn słynnego Władysława), który na tych sosnowieckich kortach prowadził regularne treningi. Sam w nich nie uczestniczyłem, ale przychodziłem pod kort i obserwowałem wykonywanie poszczególnych uderzeń, przyswajając sobie ważne elementy sztuki tenisowej. Okazało się, że dzięki temu czynię udane postępy. W kilka lat później Henryk Skonecki objął korty przy ul. Szkolnej w Sosnowcu i wtedy się z nim zaprzyjaźniłem, korzystając często z jego rad. Tam też grywałem z najlepszym tenisistą Sosnowca, Frankiem Strzeleckim, i prawie równie dobrym Andrzejem Mierzwińskim. W parę lat później, kiedy w Mysłowicach-Wesołej otwarto korty, przenieśli się tam ci najlepsi zawodnicy, a ja z nimi. Graliśmy tam m.in. w debla. Podczas jednego z nich Franek Strzelecki tak mocno zasmeczował, że trafił mnie piłką w oko. Padłem jak zabity, ale zaraz zawieziono mnie do szpitala w Mysłowicach. W miarę upływu czasu uzyskałem dość dobrą formę tenisową, ale nie na tyle, by zgłosić się do turnieju PZT. Grywałem natomiast z bardzo dobrymi pod względem tenisowym zawodnikami: Andrzejem Karczewskim, Romanem Paszkowskim i Mirosławem Popczykiem, przy czym każdy z nich był mistrzem świata dziennikarzy. Trudno było z nimi wygrać, ale dzielnie się im przeciwstawiałem. Co roku uczestniczyłem w mistrzostwach Polski dziennikarzy, a w 1978 roku w grupie powyżej 45 lat, wygrałem turniej pocieszenia. W ogóle tenis stał się stałą moją grą i nawet jeszcze w 85 roku życia odbijałem piłkę na ścianie na kortach w Katowicach-Ligocie. Może za długo, bo wkrótce po tym poważnie zachorowałem.

A teraz chciałbym usłyszeć o pańskich dziennikarskich podbojach tenisowych, czyli najważniejszych turniejach, na jakich był Pan akredytowany, niezapomnianych pojedynkach i tenisistach, których mógł Pan oglądać na własne oczy.

– Poczynając od połowy lat pięćdziesiątych, uczestniczyłem w większości turniejów o narodowe i halowe mistrzostwa Polski i w tym okresie poznałem wielu czołowych polskich zawodników, a często przeprowadzałem z nimi rozmowy, zazwyczaj pomeczowe. Zaliczają się do nich tacy zawodnicy, jak Władysław Skonecki, Józef Hebda, Wiesław Gąsiorek, Andrzej Licis, Bronisław Lewandowski, Tadeusz Nowicki, Henryk Drzymalski i wielu innych, wśród nich także pierwszy polski olimpijczyk tenisowy (igrzyska w Seulu w 1988 roku) Wojciech

Kowalski. Istotne znaczenie w mojej dziennikarskiej penetracji miały mecze o Puchar Davisa, w których niezależnie od polskich, poznałem popularnych zagranicznych zawodników. Spore wrażenie wywarł na mnie w meczu z Włochami Nicola Pietrangeli, w meczu z Rumunią Ion Tiriac, w pojedynku z Węgrami Istvan Gulyasz, a w spotkaniu ze Szwecją Jan Erik Lundquist.

Dziennikarskie akcje zawiodły mnie również na liczne zagraniczne imprezy tenisowe, z całą pewnością w prawie wszystkich krajach demokracji ludowej. Tak się złożyło, że tylko w NRD nie byłem ani razu, a w Moskwie tylko jeden raz, choć bez żadnych rewelacji. Za to w mieście tym odbywał się kiedyś międzynarodowy turniej, w którym startował m.in. Wiesław Gąsiorek i stał się on bohaterem anegdoty, która w tenisowym świecie wzbudziła największą karierę. Opowiadano ją sobie z lubością, podziwem, a nawet z satysfakcją, choć nikt nie wiedział, czy jest prawdziwa. Otóż w pewnym momencie wywołano go do gry słowami: „Tawariszcz Gąsiorek”. On wszakże nie reagował, a gdy go zapytano, dlaczego nie idzie na kort, odpowiedział, że nie jest tawariszczem lecz „grażdaninem” (obywatel – przyp. red.). I dopóty siedział? na krześle, dopóki nie wywołano go w owej zmienionej formie. Pragnąc się upewnić co do autentyczności tej historyjki, zapytałem go w roku 1981, czy rzeczywiście miała miejsce. On wszakże nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył, zręcznie schodząc na jakiś inny temat.

A wspomnienia z Roland Garros, gdzie też mieliśmy okazję się spotkać...

– Dzięki własnym zasobom finansowym i pomocy materialnej magazynu „Tenis”, wybierałem się na ten turniej dziewięć lat pod rząd, od 1993 do 2001 roku. Miałem wtedy okazję poznać wybitnych tenisistów z całego świata, podziwiać i oceniać ich grę. Już podczas mojego pierwszego pobytu nad Sekwaną, pojawił się w polu mojego widzenia hiszpański gracz Sergi Bruguera, który złuzował na tronie zwycięzcy samego Jima Couriera. Co więcej, powtórzył ten sukces w 1994 roku, pokonując w finale rodaka Alberto Berasategui. Ten podwójny sukces sprawił, że do loży honorowej przybył ówczesny król Hiszpanii Juan Carlos, składając tenisistom gorące podziękowania.

Jedno z najciekawszych wydarzeń przy ulicy Gordona Bennetta zobaczyłem w roku 1998, bo wówczas z turnieju wyeliminowany został w 1. rundzie wspaniały gracz Andre Agassi. Uczynił to zaledwie 18-letni tenisista, wychowywany w Hiszpanii, Marat Safin, który do turnieju głównego wszedł z eliminacji. Pokazał jednak bardzo ciekawy i skuteczny styl, co potwierdziło się w 2. rundzie, bo w tej pokonał zwycięzcę Roland Garros z roku poprzedniego, Brazylijczyka Gustavo Kuertena. W 3. rundzie wyrzucił z turnieju Czecha Daniela Vacka i przegrał dopiero w 1/8 finału z Francuzem Cedrikiem Piolinem. Sukces Safina okazał się ogromny i powielany był w całym świecie. Na pomeczowej konferencji prasowej był wielki tłok. Udało mi się zadać bohaterowi pytanie: „Skąd u ciebie imię Marat i co ono znaczy?”. Odpowiedział, że przecież ukończył szkołę i wie, że Jean-Paul Marat był politykiem podczas rewolucji francuskiej.

Na Roland Garros mieliśmy także polski akcent, bo oto w 1995 roku do turnieju głównego zakwalifikował się Wojciech Kowalski, posiadający wówczas 108 miejsce w rankingu ATP. W 1. rundzie trafił na reprezentanta Francji, Guya Forgeta. Mecz był bardzo zacięty, Polak spisywał się znakomicie, a nasza grupa dziennikarska gorąco go dopingowała. Widać skutecznie, bo nasz zawodnik przez dłuższy czas prowadził w meczu i doprowadził do piątego seta. W tym ostatnim, niestety, kilka razy się pomylił, Forget wyszedł na prowadzenie i ostatecznie pokonał naszego gracza.

A skoro o Forgecie piszemy, to warto stwierdzić, że Wojciech Fibak wcześniej pojedynkował się z nim na korcie, a w 1993 roku miał z nim poważną aferę. Francuz oskarżył Polaka – chodziło o zwrot? pożyczonych 2 tys. franków (euro jeszcze wtedy nie było). Informację opublikowano w L'Equipe, w tym samym miejscu odpowiedź Fibaka – i tak jeszcze parę razy. Ostatecznie nastąpiło między obu panami porozumienie i sprawę załatwiono. Napisałem zresztą o tym na pierwszej stronie w „Wieczorze”.

Zapytam zatem jeszcze o jedno ważne wydarzenie tenisowe, jakie odbyło się w naszym kraju. Jakie miał Pan wrażenia z wizyty tzw. Cyrku Kramera w Polsce, co było niesamowitym wydarzeniem jak na ówczesne czasy?

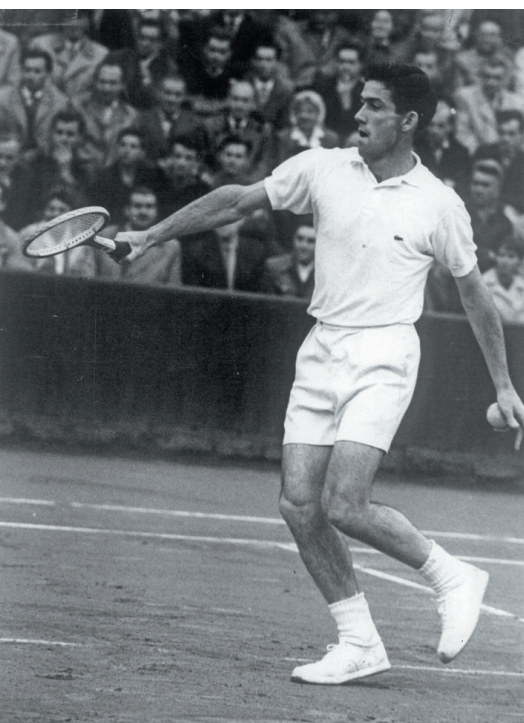


– To było jedno z najatrakcyjniejszych wydarzeń na kortach im. Jadwigi Jędrzejowskiej w Katowicach, gdy w sierpniu 1961 roku wizytę złożył tam tzw. Cyrk Kramera. Oglądałem go wspólnie z tenisistą Zagłębia Sosnowiec (później Górnika Wesoła) Frankiem Strzeleckim, bo obaj już sporo o tej zawodowej grupie wiedzieliśmy. Jej szef, Jack Kramer, był już od lat przedwojennych znakomitym tenisistą, a bezpośrednio po wojnie wygrał Wimbledon i US Open oraz został pierwszą rakieta na świecie. W 1954 roku założył pierwszą zawodową grupę tenisistów. Zorganizowany i sprawny pod względem sportowym zespół, który nazwał The Kramer Circus i ruszył z nim w świat.



Pancho Segura podczas występów Cyrku Kramera.

Gdy Cyrk Kramera zawitał do Polski, samego szefa wówczas w Polsce nie było, ale występował ośmiokrotny zwycięzca turniejów wielkoszlemowych, Ken Rosewall, oraz mniej utytułowani, ale wielokrotni zwycięzcy różnych turniejów na całym świecie: Andres Gimeno, Francisco Segura, Barry McKay i Robert Heillet. Sprowadzenie ich do kraju nie było sprawą łatwą, ponieważ ze względu na ówczesny system polityczno-ekonomiczny w kraju, Polski Związek Tenisowy nie dysponował dewizami. Cyrk wystąpił najpierw w Sopocie, następnie w Katowicach, a na końcu w Warszawie. Na jego występy przychodziły tłumy ludzi.



Ken Rosewall na kortach w Katowicach.

Na kortach katowickiego Baildonu panował taki tłok, że szpilkę trudno byłoby tam wcisnąć. Pokaz otrzymał znakomitą oprawę. Po dość długim oczekiwaniu, na korcie centralnym pojawili się, witani gromkimi oklaskami, zawodnicy, wspomniani już Rosewall, Gimeno, Segura, McKay i Heillet – wszyscy w jasnych, długich płaszczach, sięgających prawie nawierzchni kortu. Do gry przystępowali już w normalnych ubiorach tenisowych. Gości

powitał, a następnie przedstawił każdego z osobna, ówczesny najlepszy polski gracz, Władysław Skonecki. Rozegrano tylko dwa single, ale za to każdy z nich był aż trzysetowy. W pierwszym z nich zmierzyli się Francisco Segura i Andres Gimeno, w drugim Ken Rosewall z Robertem Heillet. Barry Mc Kay tym razem odpoczywał. Goście pokazali piękny, atrakcyjny, wysublimowany tenis, ale nie da się ukryć, że w znacznym stopniu aranżowany pod publiczność, choć wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Tak czy owak tenisiści wywarli na widzach spore wrażenie. Podczas ich występów na widowni pojawiła się w towarzystwie działaczy Baildonu wysoka, świetnie zbudowana i elegancko ubrana dama. Nie ulegało wątpliwości, że była to towarzyszką życiową jednego z tenisistów. Tylko którego? Po zakończeniu pierwszego singla okazało się, że to dziewczyna Segury, bo jemu tylko towarzyszyła w baildonowskim domu klubowym. I było to tym dziwniejsze, że ów Ekwadorczyk był niski (168 cm wzrostu), chudy, a w dodatku z krzywymi nogami. Ale prawdę mówiąc, on właśnie najbardziej przypadł do gustu katowickiej publiczności, przede wszystkim ze względu na swą tenisową sztukę. Grał dwuręcznym forhendem i takim samym bekhendem. Także inni „kramerowcy” pokazali techniczne sztuczki. Rosewall np. zaprezentował znakomite liftowane uderzenie z forhendu, co u nas było raczej rzadkością.

W sumie publiczność była zachwycona występem „kramerowców” i zegnała ich gorącymi oklaskami. Po zakończeniu imprezy odbyła się konferencja prasowa, na której ówczesny prezes sekcji tenisowej Baildonu, Jan Trzeciak, tak komentował występ: – Zapraszając „kramerowców” do Katowic ryzykowaliśmy bardzo poważnie, bowiem koszty wynosiły sto tysięcy złotych.

Rozmawiał:

Paweł Pluta

CZESŁAW LUDWICZEK – jest przede wszystkim dziennikarzem. Urodzony w 1933 roku, przygodę reporterską rozpoczął w 1952 roku, co oznacza, że trwała ona przeszło 65 lat. Ukończywszy jedną z warszawskich uczelni, pracował głównie w prasie katowickiej, w PAP, „Dzienniku Zachodnim”, „Trybunie Robotniczej”, „Sporcie” i „Wieczorze”, pełniąc w tej ostatniej gazecie funkcję redaktora naczelnego. Wiele inicjatyw dziennikarskich podejmował także poza Śląskiem. W 1987 roku był współzałożycielem magazynu „Tenis”, w którym sprawował funkcję zastępcy redaktora naczelnego i z którym współpracował do 2010 roku włącznie.

W ciągu blisko 25 lat był jedynym polskim korespondentem francuskiego tygodnika sportowego „France Football”, pełniąc równocześnie funkcję członka jury wybierającego najlepszego piłkarza Europy. W ciągu długich lat pracy uprawiał niemal wszystkie gatunki dziennikarskie – informację, publicystykę, reportaże, felieton, recenzję, szkic wspomnieniowy i biograficzny.

Spora część jego twórczości złożyła się na zwarte wydawnictwa książkowe. Pierwszy większy jego tekst znalazł się w zbiorze reportaży „Druga zmiana”, a następnie ukazały się jego książki „Tenis na Śląsku”, „Niweckie rodowody”, „W cieniu Domu Prasy”, no i oczywiście „Szkice przeszłości”. Ważną pozycją tego autora jest też przetłumaczona z języka francuskiego książka Georges Deniau „Tenis – technika taktyka trening”.

Działalność dziennikarską Czesław Ludwiczek łączył z aktywnością organizatorską, szczególnie w tenisie, który całe życie uprawiał. Pełnił m.in. funkcje prezesa Okręgowego, a następnie członka zarządu Polskiego

Związku Tenisowego. Jako przedstawiciel PZT wybrany został w Paryżu do dwóch międzynarodowych komitetów – Galea i Soisbault, afiliowanych przy Europejskiej Federacji Tenisowej.



Czytaj online i udostępnij:

<https://tenismagazyn.pl/czeslaw-ludwiczek-pamiec-jest-cudem-godnym-podziwu-2/>